

Krzysztof M. Maj
Django Unchained*

Wiedziony właściwą sobie złośliwością i podejrzliwością, nie wieszczęłem Django Wexlerowi brawurowej kariery pisarskiej po jego *Tysiącu imion*, który wprowadził go *de facto* na polski rynek wydawniczy, nieznający nieprzełożonych jeszcze napisanych przez niego wcześniej *Memoirs of the Empire* (2005) czy *Shinigami* (2006). W recenzji z numeru 46. „Creatio Fantastica” sarkalem prawie na wszystko, począwszy od dziwacznej nazwy reprezentowanego przez cykl *Kampanii cienia* gatunku *gunpowder fantasy* (do której sensowności, nawiasem mówiąc, wciąż nie jestem do końca przekonany, nawet po lekturze *Obietnicy krwi* Briana McClellana), a skończywszy na złym rozplanowaniu łuku narracyjnego, proliferacji wykładów nt. batalistyki (przy której chowały się nawet enuncjacje fortyfikacyjne stryjaszka Tobyego z *Tristrama Shandy*) czy karkołomnej onomastyce. *Mroczny tron* – choć powtarza irytujący chwyt z ujawnianiem znaczenia tytułu powieści na jej ostatnich kilkunastu stronach – sprawił jednak, że zawstydzilem się swą małostkowością i przekonałem co do tego, że jeśli początek cyklu Wexlera istotnie nie był nawet zbyt szczęśliwy – to od drugiego tomu zaczyna się on już rozwijać brawurowo.

Przede wszystkim w miejsce powieści drogi, która irytowała w tomie pierwszym rozplanowywaniem sekwencji zdarzeń ściśle podług lokacji zamieszczonych na dodanej do książki mapce, mamy tutaj znakomitą reprezentację gatunku płaszczka i szpady, w dodatku ograniczoną do obszaru jednego miasta – Vordan, stolicy imperium Vordanajów, wstrząsanej niepokojami wobec śmiertelnej choroby króla i znajdującej się w przededniu społeczno-obyczajowej rewolucji. Recenzenci zagraniczni, wtórując deklaracjom samego Wexlera ze wstępu, z upodobaniem podkreślali, że wzorcem dla narracji *Mrocznego tronu* była rewolucyjna Francja – jednakże osobiście uważam, że takie zestawienie niekoniecznie musi stanowić dla wszystkich asumpt do przeczytania powieści. Nieprzy-

* Recenzja książki: Django Wexler, *Mroczny tron* [*The Shadow Throne*], przekł. Zbigniew A. Królicki, Poznań: Dom Wydawniczy Rebis 2015, 978-83-7818-698-4, ss. 632.

chylnie nastawieni do rewolucyjnego dorobku Francuzów rojaliści mogą chociażby znaleźć pocieszenie w tym, że u Wexlera wprawdzie pojawia się Danton, w postaci sympatycznego wprawdzie, ale jednak przygłupa – zdolnego jedynie do płomiennego odtwórstwa pisanych dlań przemów a intelektem przerastającego co najwyżej przedmioty nieożywione. I to bynajmniej nie wszystkie. To zaś, wraz z licznymi ironicznymi komentarzami Wexlera na temat chociażby niezbornego obradowania rewolucyjnych deputowanych i ich nieuchronnej a paradoksalnej skłonności do oddawania władzy wykonawczej silnym jednostkom, odmalowuje obraz znacznie bardziej niejednoznaczny, aniżeli ten mogący się jawić w perspektywie jakichkolwiek bezkompromisowych analogii z realiami historycznymi. I ta właśnie niejednoznaczność, a także postmodernistyczny humor w odmalowywaniu allohistorycznego Vordanu stanowi o walorach artystycznych *Mrocznego tronu*.

Drugi tom *Kampanii cienia* przede wszystkim jednak czyta się znacznie lepiej od *Tysiąca imion*. Przede wszystkim Wexler zrezygnował z podporządkowywania światotwórstwa linearnej opowieści, snującej się przez ściśle wszystkie punkty zaznaczone na dołączonej do powieści mapie i czyniącej z niej tym samym szczególny przypadek graficznego spoilera. Akcja powieści ograniczona została właściwie do jednego miasta i ewentualnie jego najbliższych przedmieść, co umożliwia przyjrzenie się kształtującym świat Wexlera układom polityczno-społecznym w mikroskali, a nie, jak dotąd, w trakcie pospiesznego uzupełniania wiedzy geopolitycznej na wojennej ścieżce. Dotychczas dwuwymiarowe postaci, które z racji eklektycznych decyzji onomastycznych Wexlera, zyskiwały niewiele więcej indywidualności niż pionki na szachownicy, również zyskały na kameralizacji przestrzeni narracyjnej i wzbogaciły się niejednokrotnie o intrygującą *backstory*, jak chociażby kapitan Marcus d'Ivoire i porucznik Winter Ihernglass. Niekwestionowanie bezkonkurencyjny pozostaje Janus bet Vhalnich, nie tylko okazujący się wiedzieć o wiele więcej o pochodzeniu i potędze Tysiąca Imion, niż mogło się kiedykolwiek wcześniej wydawać, ale również rozgrywający po mistrzowsku pojedynki dyplomatyczny i polityczny z szefem tajnej służby Vordanu, fenomenalnie sportretowanym diukiem Orlanko, urastającym na jednego z głównych antagonistów cyklu. Intrygom dworskim Vordanu może i nieco brakuje do subtelności instygatorskich matactw Littlefingera i rodu Lannisterów z sagi Martina, jednakże entuzjaści podobnych gier politycznych, stanowiących nie tło, a główny asumpt utarczek wojennych, powinni lekturą *Mrocznego tronu* być ukontentowani.

Niezmienną wadą stylu pisarskiego Wexlera pozostaje anachroniczność języka, na wskroś i niekiedy do przesady współczesnego, bez widocznych prób stylizacji na dialekty w oczywisty sposób różnicujące społeczeństwo odznaczające się takim stopniem rozwarstwienia klasowego jak vordanajskie, ukazane w dodatku w przededniu rewolucji. Podobnie niestety daje się wyczuć sekwencyjność sagi *Kampanii cienia*, którego druga odsłona nawet nie próbuje udawać, że jest zapowiedzią trzeciej i kolejnych i zakończona jest kolejnym irytującym *cliffhangerem*, niepozwalającym zresztą roić sobie nadziei na to, by Wexler rychło udzielił odpowiedzi na nurtujące czytelników pytania. Tak jak *Tysiąc imion* kończyło pytanie o to, czym tak naprawdę jest owych Tysiąc Imion i do czego mogą być one wykorzystane, tak też *Mroczny Tron* kończy pytanie o to, kim są Pontifexi i jaka może być ich rola w ewidentnie nadchodzącą wojną (ostatnie słowo powieści) z imperium vordanajskim. Wszystko to razem budzi uzasadniony niepokój, by świetnie zapowiadający się cykl Wexlera nie przerodził się chociażby w to, czym finalnie okazały się *Cienie pojętych* Tchaikowskyego – czyli spekulacyjną bańką, w której teorie i przemyślenia czytelników przejawiają o wiele wyższą wartość fabularną, aniżeli tyleż wymuszone, co nagłe i niekompletne rozwiązanie akcji.